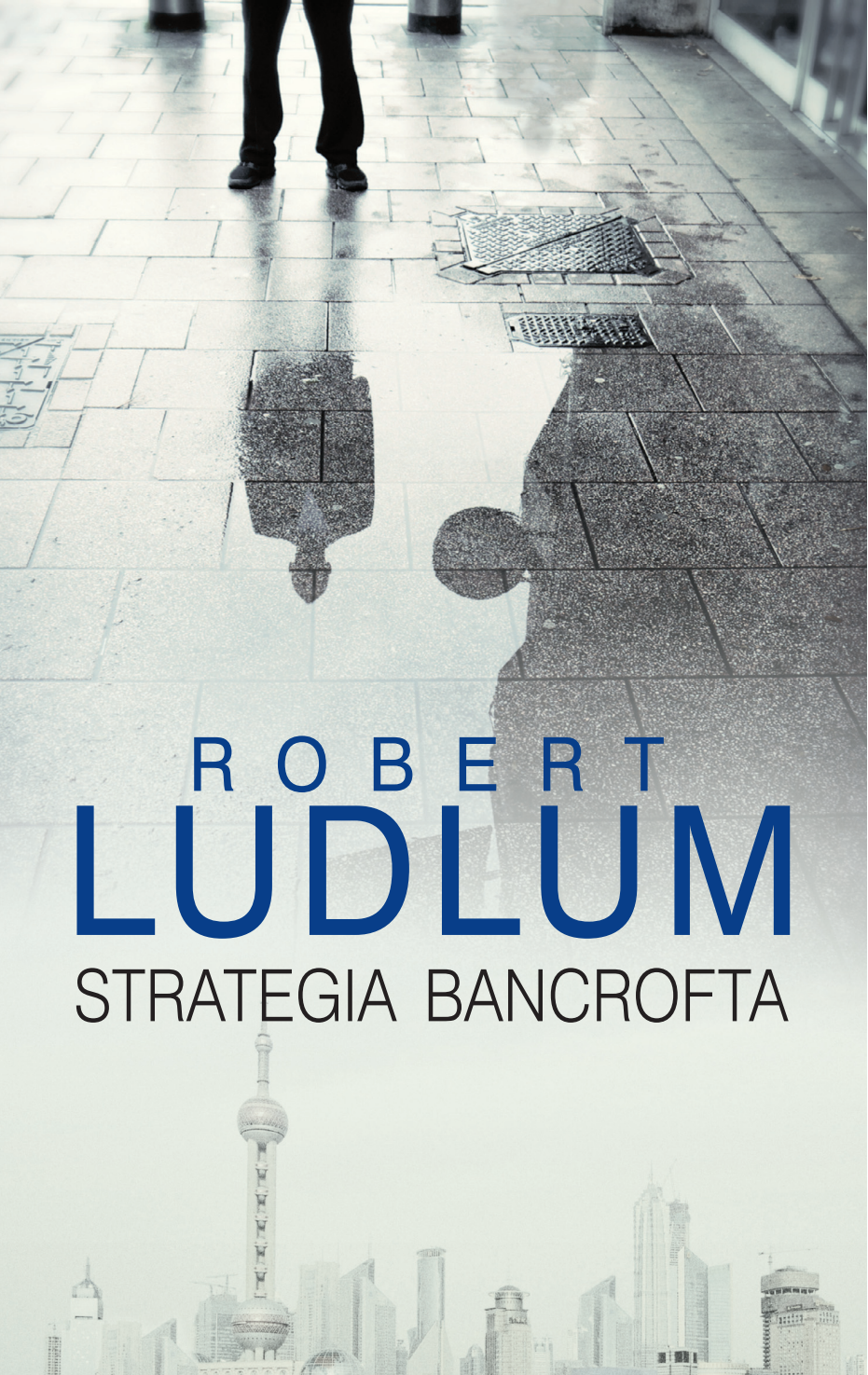
ROBERT
LUDLUM
STRATEGIA BANCROFTA

# Prolog

## Berlin Wschodni, 1987

Jeszcze nie padało, ale ołowiane niebo groziło w każdej chwili ulewą i powietrze wisiało nieruchomo, jakby w oczekiwaniu nawałnicy. Młody mężczyzna przeszedł z Unter den Linden na Forum Marksa i Engelsa z olbrzymimi brązowymi posągami teutońskich ojców socjalizmu, wpatrzonych niewidzącymi oczyma w centrum miasta, a umieszczone za nimi kamienne fryzy ukazywały sceny z radosnego życia w komunizmie. Nie spadła jeszcze ani kropla, ale czuło się, że niebo niedługo się otworzy. To historyczna nieuchronność, pomyślał, sarkastycznie przywołując socjalistyczną nowomowę. Był myśliwym tropiącym ofiarę i znajdował się bliżej celu niż kiedykolwiek wcześniej. Tym ważniejsze było panowanie nad narastającym w nim podnieceniem.

Wyglądem nie różnił się od miliona innych mieszkańców tego robotniczego raju. Był ubrany w ciuchy zakupione w Centrum Warenhaus, ogromnym domu towarowym przy Alexanderplatz, bo tego rodzaju tandety nie sprzedawano nigdzie indziej. Ale nie tylko ubiór upodabniał go do zwykłego mieszkańca Berlina Wschodniego. Zdradzał go też jego chód: powolny, nierzucający się w oczy, jakby ukradkowy chód

człowieka nawykłego do dyscypliny. Nic w jego wyglądzie ani ruchach nie wskazywało na to, że zaledwie dobę wcześniej przybył tu z Zachodu, i jeszcze parę minut temu nic nie świadczyło o tym, by zwrócił czyjąś uwagę.

Teraz jednak poczuł nagły przypływ adrenaliny. Odnosił wrażenie, że od pewnego czasu jego spacerowi po Karl Liebknecht Strasse towarzyszą za plecami znajomo brzmiące kroki.

Wszystkie kroki brzmią podobnie i jednocześnie wszystkie różnią się od siebie ciężarem i rytmem, rodzajem zelówek i obcasów. Dźwięk kroków to pieśń miasta, powiedział któryś z instruktorów. Są czymś tak zwyczajnym, że przechodzą niezauważone, jednak dla wyszkolonego ucha mogą być równie rozpoznawalne jak głos. Czyżby się nie mylił?

Nawet nie dopuszczał myśli, że ktoś może go śledzić. Na pewno się mylił.

Bo inaczej będzie musiał coś z tym zrobić.

Todd Belknap, młody agent ultratajnej służby wywiadowczej amerykańskiego Departamentu Stanu, znanej pod nazwą Wydziału Operacji Konsularnych, zasłużył już sobie na reputację speca od znajdowania ludzi, którzy woleli pozostawać w ukryciu. Jak większość tropicieli, najbardziej lubił pracować samotnie. Gdy chodziło o prowadzenie inwigilacji podejrzanego, najlepiej sprawdzała się ekipa, i to im liczniejsza, tym lepiej. Jednak kiedy ktoś znikał i celowo się ukrywał, zwykła inwigilacja była na nic. W takich przypadkach do wyśledzenia obiektu z reguły używano wszelkich dostępnych środków, ale szefostwo OpKonu już dawno doszło do wniosku, że powierzenie zadania zdolnemu soliście może dać lepszy efekt. Działając samotnie, agent nie był skrępowany całą kosztowną infrastrukturą wywiadowczą i mógł swobodniej poruszać się w terenie. Mógł się kierować przeczuciami. Mógł działać na nosa.

Nosa, który – o ile się nie mylił – miał go właśnie

doprowadzić do celu: amerykańskiego eksagenta i renegata, Richarda Lugnera. Po wielu fałszywych alarmach Belknap był niemal pewien, że tym razem jest na właściwym tropie.

Czyżby ktoś inny był na jego tropie. Tropiący zamieniał się w tropionego?

Nagły obrót do tyłu mógłby wyglądać podejrzanie. Dlatego zatrzymał się, ziewnął i obojętnie przyjrzał ogromnym posągom, gotów do błyskawicznej oceny wszystkich znajdujących się w pobliżu.

Poza siedzącym Marksem i stojącym Engelsem z brązu, którzy wpatrywali się w dal znad spatynowanych bród i wąsów, nie było nikogo. Dwa rzędy rosnących lip. Połać zapuszczonego trawnika. Po drugiej stronie długie gmaszysko z barwionymi w kolorze miedzi szybami, znane pod nazwą Pałac Republiki. Budynek był jak gigantyczna trumna, w której pochowano ducha narodu. Ale na placu nie było nikogo.

Trochę go to uspokoiło. Czy na pewno coś za sobą słyszał? Wiedział, że człowiek w stanie stresu miewa różne zwidy, widzi w ciemnościach podejrzane cienie. Musi się opanować. Zbyt spiętemu agentowi łatwo jest błędnie ocenić sytuację, skupić się na wyimaginowanym niebezpieczeństwie i nie zauważyć rzeczywistego.

Belknap instynktownie ruszył w stronę ponurego gmaszyska Pałacu Republiki, flagowego budynku w kraju. Mieścił się w nim nie tylko parlament NRD, ale także różnego rodzaju instytucje kulturalne i restauracje oraz niezliczone urzędy, oddające się niezliczonym biurokratycznym czynnościom. Było to ostatnie miejsce, w którym odważono by się go śledzić, ostatnie, w którym jakiś obcokrajowiec odważyłby się szukać schronienia, i pierwsze, jakie przyszło Belknapowi do głowy, aby się upewnić, że nikt nie depcze mu po piętach. Ruch ten równie dobrze mógł się okazać natchnionym pomysłem, jak i szkolnym błędem żółtodzioba. Wkrótce się okaże. Przybrał obojętną minę pewnego siebie biurokraty i przeszedł obok

strzegących wejścia strażników, którzy z kamiennymi twarzami zerknęli na jego podniszczony dowód osobisty. Minął masywne bramki obrotowe i wszedł do ogromnego, pachnącego środkiem dezynfekcyjnym holu, w którym całą jedną ścianę zajmowała ciągnąca się w nieskończoność tablica informacyjna z nazwami biur i instytucji, wyglądem przypominająca tablicę odlotów na lotnisku. Nie zatrzymuj się, nie rozglądaj, zachowuj się, jakbyś wiedział, co robisz, to wszyscy pomyślą, że tak właśnie jest. Mogli go uznać za... za kogo? Urzędnika niższego szczebla, który wraca z późnego lunchu? Za obywatela, który przyszedł zarejestrować nowy samochód? Skręcił w boczny korytarz, potem w następny i dotarł do wyjścia na Alexanderplatz.

Oddalał się od budynku, uważnie przyglądając się odbiciom w lustrzanych szybach. Jakiś chudzielec w roboczych buciorach i z torebką z drugim śniadaniem. Biuściasta Frau z podpuchniętymi, skacowanymi oczami. Dwóch urzędasów z szarą cerą w szarych garniturach. Nikogo z nich nie znał, nikt w nim nie budził niepokoju.

Ruszył wielką promenadą stalinowskiego neoklasycyzmu, znaną pod nazwą Karl-Marx-Allee. Po obu stronach szerokiej alei stały ośmiokondygnacyjne budynki, tworząc niekończący się ciąg bloków z elewacją z płyt z piaskowca, wysokimi oknami i kamiennymi balustradami nad sklepami na parterze. Co kawałek płyty zdobiły postacie uśmiechniętych robotników, którzy trzydzieści pięć lat wcześniej wznosili tę promenadę. Jeśli Belknap dobrze pamiętał lekcje historii, ci sami robotnicy w 1953 roku stanęli na czele rebelii przeciwko socjalistycznej władzy, a ich powstanie zostało bezlitośnie stłumione przez sowieckie czołgi. Ukochany przez Stalina tortowy styl architektoniczny napawał goryczą tych, którzy te torty musieli piec. Promenada była pięknym kłamstwem.

Ohydnym kłamstwem natomiast był Richard Lugner, który sprzedał swój kraj i nie zrobił tego tanio. Uznał, że upadający tyrani Europy Wschodniej nigdy wcześniej nie byli tak

zdesperowani jak obecnie, a ich desperacja dorównuje jego chciwości. Do zaoferowania miał tajną wiedzę amerykańskiego agenta, w tym nazwiska głęboko zakonspirowanych szpiegów w ich zorganizowanych na sowiecką modłę siłach bezpieczeństwa. Jego zdrada stanowiła dla nich nie lada gratkę. Porozumiewał się z poszczególnymi przywódcami bloku wschodniego i przekazywał im próbki swej wiedzy. Po zweryfikowaniu autentyczności „towaru" – na przykład nazwiska któregoś z amerykańskich agentów, którego w danym kraju najpierw obserwowano, potem aresztowano i torturowano, a na koniec rozstrzeliwano – Lugner wyznaczał swoją cenę.

Nie każdy dostawca pozostaje w dobrych relacjach ze swymi klientami, widać jednak Lugner odpowiednio się zabezpieczał. Zapewne umiał przekonać swych odbiorców, że w rękawie chowa jeszcze kilka kart i że jego zapas tajnej wiedzy na temat amerykańskich sekretów nie został w pełni wyczerpany. A dopóki tak było, posiadacza takich tajemnic należało chronić. Było więc całkiem oczywiste, że znaleziono mu lokum w gronie oficjeli Stasi i przedstawicieli enerdowskiej nomenklatury, którzy zamieszkiwali dzielnicę wciąż nazywaną robotniczą, choć prawdziwych robotników już dawno stąd wysiedlono do ciasnych klitek z betonowych prefabrykatów. Oczywiście Lugner nie siedział zbyt długo w jednym miejscu i nie dalej jak półtora miesiąca wcześniej rozminął się z Belknapem w Bukareszcie dosłownie o parę godzin. Belknap nie mógł sobie pozwolić, by się to powtórzyło.

Przepuścił kilka zdezelowanych skod i przeszedł na drugą stronę jezdni tuż przed skrzyżowaniem, na wysokości wystawy zapyziałego sklepu z artykułami przemysłowymi. Czy ktoś przejdzie za nim? A może tylko mu się zdawało, że ktoś za nim idzie? Wszedł do sklepu, liche drzwi z pleksiglasu i emaliowanego aluminium zamknęły się za nim z hukiem, siedząca za kontuarem starsza kobieta z siwą zmatowiałą fryzurą i śladem wąsów pod nosem obrzuciła go niechętnym

spojrzeniem, jakby był intruzem, który przerywa jej ważne zajęcie. W ciasnym wnętrzu wisiała woń oleju maszynowego, półki były zawalone artykułami, którymi nikt od dawna się nie zainteresował. Kobieta odprowadziła go posępnym wzrokiem do regału. Zaczął wybierać drobiazgi do przeprowadzenia domowego remontu: wiaderko, pojemnik gotowej mieszanki tynkarskiej, tubę zaprawy cementowej, szeroką szpachelkę. W mieście wymagającym wiecznych remontów tego typu przedmioty były czymś oczywistym i u nikogo nie mogły wzbudzić podejrzeń. Sprzedawczyni obrzuciła go kolejnym nieprzyjaznym spojrzeniem typu: klient-nigdy-nie-ma-racji i wzięła od niego pieniądze z taką miną, jakby przyjmowała zadośćuczynienie za wyrządzone jej krzywdy.

Wejście do bloku mieszkalnego okazało się dziecinnie proste, co jak na ironię brało się z przyzwyczajeń pilnowanych na każdym kroku obywateli. Wystarczyło odczekać chwilę, aż dwie obficie wyperfumowane *Hausfrau* z torbami pełnymi zakupów otworzą drzwi oznaczone tabliczką HAUS 435, by bez trudu wślizgnąć się za nimi do środka. Trzymane materiały i narzędzia budowlane nie tylko dodały Belknapowi autentyzmu, ale też wywołały porozumiewawcze uśmieszki na twarzach obu kobiet. Wysiadł z windy na siódmym piętrze, piętro wyżej niż one. Jeśli jego chuderlawy informator z przetłuszczonymi włosami mówił prawdę, znajdował się zaledwie parę metrów od celu swej misji.

Serce zaczęło mu walić, zamieniając się w pełen oczekiwania tam-tam, którego bicia nie potrafił stłumić. Ale też Richard Lugner nie był zwyczajnym celem. Od dłuższego czasu udawało mu się wymykać z wszystkich zastawianych pułapek, jako że podczas służby w wywiadzie Stanów Zjednoczonych sam niejedną zastawił. W ciągu minionych osiemnastu miesięcy agenci amerykańskiej służby wywiadowczej odebrali wiele zgłoszeń od osób, które rzekomo widziały Lugnera, ale nie bardzo w nie wierzono. Sam Belknap przez ostatnie trzy

miesiące podjął kilkanaście bezowocnych prób namierzenia swej ofiary i jego szefowie byli na tyle zdegustowani kolejnymi fałszywymi alarmami, że zapowiedzieli, iż nie interesuje ich nic poza NPI – naoczną i pewną identyfikacją. Tym razem jednak nie opierał się jedynie na domysłach i obserwacjach prowadzonych w kafejce czy poczekalni na lotnisku. Tym razem dysponował konkretnym adresem. Czy prawdziwym? Tego nikt nie mógł zagwarantować, lecz instynktownie – na nosa – czuł, że teraz mu się powiedzie. Uderzył na oślep i w coś trafił.

Następne chwile będą kluczowe. Mieszkanie Lugnera – najwyraźniej duży elegancki apartament z oknami wychodzącymi na główną aleję i boczną uliczkę Koppenstrasse – znajdowało się na końcu długiego korytarza, z którego skręcało się w jeszcze jeden, znacznie krótszy korytarzyk. Belknap podszedł do drzwi i postawił obok nich wiaderko. Z daleka mógł wyglądać na robotnika, który przyszedł uzupełnić brakującą płytkę podłogową na korytarzu. Upewniwszy się, że jest sam, uklęknął z twarzą przy klamce – gałki były w tym kraju prawie nieznane – i wziął do ręki fiberoskop. Jeśli uda mu się uzyskać NPI, będzie mógł rozpocząć inwigilację obiektu i dać czas na sprowadzenie odpowiedniej grupy interwencyjnej.

Przy „jeśli" stał wielki znak zapytania, ale tym razem był tak bliski celu, że mógł liczyć na sukces. Wszystko zaczęło się od wieczornej wizyty w toalecie na dworcu kolejowym przy Friedrichstrasse, gdzie zaczepił jednego z tak zwanych *Bahnhofboys*, męskich prostytutek, obstawiających takie miejsca. Chłopcy ci byli dużo mniej chętni – i jak się okazało za dużo wyższą cenę – dzielić się informacjami. Belknap zawsze wierzył, że te same upodobania, które skłoniły Lugnera do przejścia na drugą stronę, w końcu go zdradzą. Gdyby został w Waszyngtonie, jego apetyt na młode ciała prędzej czy później doprowadziłby do skandalu, ponieważ był to apetyt

niełatwy do zaspokojenia. Jako cieszący się specjalnymi względami gość krajów bloku wschodniego, Lugner mógł liczyć na pełną wyrozumiałość, o ile nie pomoc. Natomiast *Bahnhofboys* z racji funkcjonowania w państwie policyjnym musieli siłą rzeczy trzymać się razem i stanowić wspierającą się grupę. Belknap założył, że jeśli któremuś zdarzyło się „zabawiać" hojnego, gustującego w trzynastoletnich chłopcach Amerykanina z ospowatą twarzą, wiadomość o nim szybko się rozejdzie w całej społeczności.

Trwało to długo i wymagało ze strony Belknapa zapewnień o zachowaniu dyskrecji, nie mówiąc o pokaźnym pliku marek, ale chłopak ostatecznie się zgodził i obiecał, że popyta wśród kolegów. Wrócił po dwóch godzinach ze skrawkiem papieru i triumfalnym uśmiechem na lekko krostowatej twarzy. Belknap pamiętał cuchnący skwaśniałym mlekiem oddech chłopaka i jego lepkie ręce, ale wszystko to było nieważne w porównaniu ze skrawkiem papieru, który wynagradzał wszelkie poświęcenia.

Belknap ostrożnie wkręcił fiberoskop w otwór zamka. Jego palce nie były w tym zbyt biegłe, a nie mógł sobie pozwolić na żadne pomyłki.

Za plecami usłyszał jakiś szmer, skrzypnięcie buta na posadzce. Odwrócił się i spojrzał prosto w wylot krótkiej lufy karabinka SKS. Dopiero później dostrzegł trzymającego go człowieka. Mężczyzna miał na sobie szaroniebieski mundur ze stalowymi guzikami, a pod prawym ramieniem walkie-talkie w beżowej plastikowej obudowie.

Stasi, wschodnioniemiecka tajna policja.

Zapewne strażnik przydzielony do pilnowania drogocennego *Herr* Lugnera. Prawdopodobnie siedział w mrocznej wnęce w korytarzu i dlatego Belknap wcześniej go nie zauważył.

Powoli wstał z uniesionymi rękami, udając zdumienie i jednocześnie gorączkowo obmyślając następny ruch.

Strażnik Stasi warknął coś do beżowego walkie-talkie, chrapliwie wymawiając spółgłoski jak rodowity berlińczyk.

Przytrzymywał Belknapa jedną ręką, w drugiej miał karabinek. Był skupiony na rozmowie, a to oznaczało, że przez krótką chwilę nie będzie przygotowany na nieoczekiwany atak. Pistolet Belknapa tkwił w kaburze przytroczonej do kostki. Postanowił udać, że się schyla, by pokazać strażnikowi niewinny zestaw remontowy, i jednocześnie sięgnie po znacznie groźniejsze narzędzie.

W tym momencie usłyszał, że drzwi za jego plecami otwierają się, poczuł powiew cieplejszego powietrza i dostał potężny cios w szyję. Para silnych rąk zgniotła go w uścisku, rzuciła na podłogę i wciągnęła do środka, szorując jego twarzą po podłodze przedpokoju. Ktoś od razu przygniótł butem jego głowę do podłogi, niewidzialne ręce fachowo go obszukały i wyjęły niewielki pistolet z kabury przy nodze. Potem szybkim ruchem przeciągnięto go do sąsiedniego pomieszczenia i głośno zatrzaśnięto za nim drzwi. W pokoju panował mrok, zasłony były zaciągnięte i jedyne źródło światła stanowiło wąskie okienko wychodzące na boczną uliczkę. Jednak panujący za nim półmrok tylko nieznacznie rozjaśniał ciemności w środku. Chwilę potrwało, zanim wzrok Belknapa się przystosował.

Jasna cholera! Czyżby cały czas mieli go na oku?

Teraz potrafił już rozróżnić elementy otoczenia. Znajdował się w czymś w rodzaju gabinetu z podłogą pokrytą kosztownie wyglądającym tureckim dywanem, na ścianie wisiało lustro w hebanowej ramie, pod ścianą stało ogromne biedermeierowskie biurko.

Za biurkiem stał Richard Lugner.

Człowiek, którego nigdy wcześniej nie spotkał, ale którego twarz rozpoznałby wszędzie. Wąskie usta, dziobate policzki, pięciocentymetrowa łukowata blizna na czole niczym druga brew. Fotografie doskonale oddawały jego wygląd. Belknap dostrzegł jeszcze złośliwe czarne oczka Lugnera i potężną dubeltówkę w jego rękach. Mierzył w Belknapa, a wyloty luf

przypominały wpatrzoną w niego dodatkową parę oczu.

Po obu stronach biurka stało dwóch mężczyzn – sądząc po wyglądzie, sposobie trzymania broni i czujnym spojrzeniu, dobrze wyszkolonych zawodowych zabójców. Mierzyli w Belknapa z gotowej do strzału broni. Zapewne członkowie osobistej ochrony Lugnera, ludzie, których lojalności i kompetencjom mógł ufać. Pewnie opłacał ich z własnej kieszeni, a oni wiedzieli, że i ich pozycja zależy od jego losu. Dla kogoś w sytuacji Lugnera tego typu wydatek był w pełni uzasadniony. Obaj ochroniarze przesunęli się i nie opuszczając broni, stanęli po bokach Belknapa.

– Uparty z ciebie gnojek, co? – odezwał się w końcu Lugner. Mówił nosowym, nieco chrapliwym głosem. – Przyczepiłeś się do mnie jak kleszcz.

Belknap milczał. Przewaga ogniowa przeciwnika była zbyt przygniatająca i profesjonalnie rozłożona, by mógł liczyć, że jakikolwiek nagły ruch z jego strony zmieni geometrię śmierci.

– Matka usuwała nam kleszcze rozżarzoną główką zapałki. Bolało jak diabli, ale tego zasrańca bolało jeszcze bardziej.

Jeden z ochroniarzy parsknął gardłowym śmiechem.

– Och, nie zgrywaj niewiniątka – ciągnął zdrajca. – Mój dostawca towaru z Bukaresztu opowiedział mi o waszej rozmowie. Wyszedł z niej z ręką na temblaku. Nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego. Byłeś dla niego niedobry. – Ironiczne wydęcie warg. – Rękoczynami nigdy niczego się nie załatwi. Nie uważałeś na lekcjach wychowawczych w siódmej klasie? – Groteskowe puszczenie oka. – Szkoda, że nie znaliśmy się w siódmej klasie. Mógłbym cię paru rzeczy nauczyć.

– Pieprz się – warknął Belknap.

– Oj, nerwy, nerwy. Musisz się nauczyć panować nad emocjami, bo inaczej emocje zapanują nad tobą. No to powiedz mi, żółtodziobie, jak mnie tu znalazłeś? – Jego wzrok nagle stwardniał. – Będę musiał skrócić o głowę małego Ingo? – Wzruszył ramionami. – No cóż, smarkacz twierdził, że lubi

ostrą jazdę. Obiecałem, że zabiorę go gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie był. Następnym razem przejdziemy na wyższy szczebel. Na najwyższy. Ale chyba nikt nie będzie protestował.

Belknap mimo woli się wzdrygnął, obaj goryle tylko cicho parsknęli.

– Nic się nie martw – rzekł zdrajca, udawanym pogodnym tonem. – Ciebie też zabiorę gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie byłeś. Strzelałeś kiedyś z bliska z taktycznej strzelby Mossberg kalibru zero czterysta dziesięć? Mam na myśli do człowieka. Bo ja tak. Nic się nie da z tym porównać.

Belknap przeniósł spojrzenie z niezgłębionej czerni wylotu luf na niezgłębioną czerń oczu Lugnera.

W tej samej chwili spojrzenie Lugnera powędrowało na ścianę za plecami pojmanego.

– Mogę cię zapewnić, że nikt nam nie przeszkodzi. Mury w tych blokach są cudownie grube. Miękki ołowiany śrut ledwie zadrapie tynk. Do tego jeszcze powłoka dźwiękochłonna, którą sam kazałem nałożyć. Nie chciałem przeszkadzać sąsiadom, gdyby któryś z *Bahnhofboys* za głośno jęczał. – Jego wargi rozchyliły się w obleśnym uśmieszku, obnażając porcelanowe zęby. – Ale wierz mi, w ciebie wpakuję dziś coś zupełnie innego. Mój mossberg zrobi ci w brzuchu całkiem sporą dziurę. Tak dużą, że mógłbyś przez nią przełożyć rękę na drugą stronę.

Belknap spróbował się poruszyć, ale przytrzymały go ręce jak ze stali.

Lugner spojrzał na swoich dwóch goryli wzrokiem telewizyjnego kucharza, który szykuje się do pokazania zaskakującej kulinarnej sztuczki.

– Myślisz, że przesadzam? No to pozwól, że ci to zademonstruję. Nigdy w życiu nie doświadczyłeś czegoś takiego. – Rozległo się ciche pstryknięcie zwalnianego bezpiecznika. – I już nigdy więcej nie doświadczysz.

Wydarzenia paru następnych sekund Belknap potrafił

odtworzyć tylko w retrospekcji. Głośny brzęk pękającej szyby; zaskoczony Lugner zwraca twarz w lewo ku wąskiemu oknu; błysk wystrzału i ułamek sekundy później ognista smuga, jakby do mrocznego pokoju wpadł piorun, rozbłyskując w lustrze i metalowych powierzchniach; gejzer krwi z prawej skroni Lugnera; jego twarz zastygła w ostatnim grymasie.

Lugner runął na podłogę i znieruchomiał, obok upadła strzelba jak laska upuszczona przez ofiarę nagłego wylewu. Jakiś strzelec wyborowy trafił go prosto w skroń.

Ochroniarze odskoczyli na boki i skierowali broń ku wybitemu oknu. Czyżby atak snajpera?

– Łap! – krzyknął jakiś głos z amerykańskim akcentem i przez pokój przeleciał pistolet, a Belknap odruchowo go złapał, wykorzystując sekundowe niezdecydowanie obu ochroniarzy, niepewnych, czy mają najpierw strzelać do więźnia, czy do napastnika, który w tym momencie przecisnął się przez wąską ramę okienną. Belknap padł na podłogę, niemal czując podmuch kuli tuż obok ramienia, i dwukrotnie strzelił do stojącego bliżej ochroniarza. Trafił go w klatkę piersiową. W sam środek celu, zgodnie ze standardową techniką strzelania w ruchu. Ale gdy cel znajduje się tak blisko, to nie wystarcza. Jedynie trafienie w centralny ośrodek nerwowy może natychmiast obezwładnić przeciwnika. Śmiertelnie ranny i obficie krwawiący ochroniarz zaczął strzelać na oślep, a solidne mury wzmocniły huk wielkokalibrowych pocisków. Rozbłysk strzałów w mroku pomieszczenia aż oślepiał.

Belknap strzelił po raz drugi i trafił ochroniarza w twarz. Pistolet – staromodny półautomatyczny walther, popularny wśród wielu byłych wojskowych, bo podobno nigdy się nie zacina – upadł na podłogę, a zaraz potem upadł jego właściciel.

Snajper – wysoki, szczupły, ubrany w brunatny roboczy kombinezon, na którym lśniły odłamki szkła – uskoczył w bok, unikając strzału drugiego z ochroniarzy i samemu strzelając. Znów celnie i znów ze skutkiem śmiertelnym.

Zapadła upiorna cisza, trwająca najdłuższe w życiu Belknapa sekundy. Mężczyzna, który przed chwilą wysłał na tamten świat Lugnera i jego ochroniarza, miał znudzoną minę. Nic nie wskazywało na to, że jego tętno choćby trochę przyśpieszyło.

Spojrzał na Belknapa i spokojnym tonem powiedział:

– Pewnie Stasi mieli strażnika w jakiejś wnęce na korytarzu.

Co Belknap oczywiście powinien był przewidzieć. Nie po raz pierwszy musiał się skląć w duchu za swoją głupotę.

– Ale nie sądzę, żeby tu przyszedł – mruknął. W ustach mu zaschło i mówił nieco chrapliwie. Czuł, jak w nodze drga mu mięsień niczym struna wiolonczeli. Poza szkoleniami jeszcze nie zdarzyło mu się patrzeć w otwór wymierzonej w siebie lufy. – Myślę, że ich plan zakładał pozostawienie mu pełnej swobody w... radzeniu sobie z niepożądanymi gośćmi.

– Miejmy nadzieję, że miał dobrą sprzątaczkę – powiedział mężczyzna, strzepując okruchy szkła z kombinezonu. Na podłodze leżały trzy broczące krwią trupy, znajdowali się w sercu policyjnego państwa, a jemu jakby w ogóle się nie śpieszyło. – A tak przy okazji, nazywam się Jared Rinehart – dodał i wyciągnął rękę. Uścisk miał twardy, dłoń suchą. Z bliska Belknap dostrzegł, że na skórze Rineharta nie widać ani kropli potu, ani jeden włosek na głowie się nie poruszył. Był modelowym przykładem człowieka zachowującego zimną krew. W odróżnieniu od Belknapa, który był roztrzęsiony, o czym świadczył również jego wygląd. Szybkie zerknięcie w lustro utwierdziło go w tym.

– Wszedłeś od frontu. Odważnie, ale dość nieostrożnie. Zwłaszcza że piętro wyżej miałeś puste mieszkanie.

– Rozumiem – mruknął Belknap, odtwarzając w myślach akcję Rineharta i jego sprytną strategię. – Masz rację.

Rinehart był wysoki i chudy niczym Chrystus przedstawiany w malarstwie manierystycznym, miał długie kończyny i dziwnie uduchowione spojrzenie szarozielonych oczu. Poruszając się z

kocią gracją, zrobił kilka kroków w stronę Belknapa.

– Nie obwiniaj się, że nie zauważyłeś tego szpicla Stasi. I tak jestem pełen uznania dla tego, co udało ci się osiągnąć. Sam od paru miesięcy próbowałem namierzyć Lugnera, ale bez powodzenia.

– Ale w końcu ci się udało – mruknął Belknap. „Kim ty, do diabła, jesteś", cisnęło mu się na usta, jednak postanowił wstrzymać się z tym pytaniem.

– Niezupełnie – powiedział jego wybawca. – Znalazłem nie jego, tylko ciebie.

– Mnie? – Te kroki za plecami na Forum Marksa i Engelsa. Sztuczka ze zniknięciem godna prawdziwego profesjonalisty. Odbicie sylwetki chudego robociarza w bursztynowej szybie Pałacu Republiki.

– Jestem tu tylko dlatego, że śledziłem ciebie. Byłeś dobry, muszę przyznać. Pies tropiący lisa, a ja za nim jak zdyszany myśliwy. – Zamilkł i rozejrzał się po pokoju. – Boże Święty, bałagan jak w pokoju hotelowym po wizycie szalonego rockmana. Ale myślę, że dopięliśmy swego, nie sądzisz? W każdym razie moi mocodawcy wcale się nie zmartwią. Lugner dawał taki zły przykład innym szpiegom. Żył jak panisko i pozwalał umrzeć. Ale teraz daje już dobry przykład. – Spojrzał na zwłoki Lugnera. – Zapłata za grzechy i tak dalej.

Belknap też się rozejrzał. Krew sącząca się z trzech ciał wsiąkała w rudy dywan i utleniając się, przybierała jego rdzawy odcień. Belknap poczuł mdłości.

– Skąd wiedziałeś, że powinieneś mnie śledzić?

– Węszyłem, choć jeśli mam być szczery, bardziej wałęsałem się bez celu po bazarach, gdy dostrzegłem znajomą postać z Bukaresztu. Nie wierzę w zbiegi okoliczności, a ty? Równie dobrze mogłeś być jego kurierem. W każdym razie coś musiało cię z nim łączyć, więc warto było spróbować.

Belknap przyglądał się mężczyźnie w milczeniu.

– No i w ten sposób dochodzimy do kluczowego pytania –

ciągnął Jared Rinehart. – Jesteś swój czy obcy?

– Słucham?

– To niegrzeczne, wiem. – Udawany grymas skruchy. – Jak rozmowa o sprawach zawodowych przy stole lub wypytywanie dopiero co poznanych, z czego żyją. Ale moje pytanie jest w pełni uzasadnione. Bo wolałbym wiedzieć, czy na przykład pracujesz dla Albańczyków. Mówiło się, że Lugner najsmaczniejsze kąski zostawia dla konkurencji z bloku wschodniego, a wiesz jacy są Albańczycy, gdy podejrzewają, że ktoś ich robi w konia. Natomiast jeśli chodzi o Bułgarów, no cóż, lepiej w to nie wchodźmy. – Nie przerywając mówienia, wyjął z kieszeni chustkę i otarł brodę Belknapa. – Bo nie co dzień spotyka się taką mieszaninę zawziętości i głupoty. Więc dlatego pytam: jesteś dobrą czarodziejką czy złą wiedźmą? – Zamaszystym gestem podał chustkę Belknapowi. – Miałeś na brodzie plamkę krwi. Schowaj ją na pamiątkę.

– Nie rozumiem – powiedział Belknap z niedowierzaniem i podziwem w głosie. – Przed chwilą ryzykowałeś życie, nawet nie wiedząc, czy jestem sprzymierzeńcem, czy wrogiem?

Rinehart wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że miałem nosa. Poza tym mogłeś być tylko albo jednym, albo drugim. Na dwoje babka wróżyła, przyznaję, ale kto nie ryzykuje, nie wygrywa. Aha, zanim odpowiesz, chcę, żebyś wiedział, że nieoficjalnie reprezentuję Departament Stanu.

– Rany boskie. – Belknap próbował ogarnąć to myślami. – Też jesteś z OpKonu? Z sekcji Penteusz?

– A więc jednak OpKon. – Rinehart się uśmiechnął. – Powinniśmy stosować jakiś umówiony uścisk rąk, nie uważasz? Albo nosić klubowe krawaty, choć musieliby pozwolić mi wybrać wzór.

– Sukinsyny! – rzucił wściekle Belknap. – Dlaczego nikt mnie nie uprzedził?

– Mamy cały czas być w niepewności, to ich filozofia. Jak

spytasz chłopców z operacyjnego przy C Street, to ci powiedzą, że czasem stosują taką procedurę. Zwłaszcza w odniesieniu do solistów. Pojedynczych i niewspółdziałających z nikim tajnych agentów. Bąkną coś górnolotnego o operacyjnym rozdzieleniu. Wadą jest to, że możesz się potknąć o własny ogon. Zaletą, że nie wdajesz się w grupowe spory, nie maszerujesz na gwizdek, masz szerszy wachlarz możliwości działania. Właśnie w ten sposób spróbują ci to wytłumaczyć, ale założę się, że tak naprawdę ktoś coś zawalił. Palnął zwykłą głupotę. – Jego wzrok nie przestawał błądzić po pokoju i zatrzymał się na stojącym w rogu barku z mahoniu zdobionego srebrem. Podszedł bliżej i wziął do ręki jedną z butelek.

– Dwudziestoletnia suvoborska śliwowica. Nieźle – powiedział z uznaniem. – Myślę, że obaj zasłużyliśmy na kropelkę. – Nalał do dwóch kieliszków i podał jeden Belknapowi. – Do dna!

Belknap zawahał się, ale wziął kieliszek i wypił, choć w głowie już i tak mu wirowało. Inny na miejscu Rineharta zostałby w punkcie obserwacyjnym, a uznawszy, że potrzebne jest czynne włączenie się do akcji, odczekałby, aż Lugner i jego goryle odłożą broń. Po jej użyciu, nie przed. Belknap zostałby pośmiertnie odznaczony, medal przyczepiono by do jego trumny, a Lugner albo zostałby ujęty, albo zabity. Drugi z uczestniczących w akcji agentów dostałby pochwałę i awans. Organizacje wyżej cenią rozwagę niż męstwo. Nikt nie miałby prawa oczekiwać, że ktoś wedrze się sam bez żadnego wsparcia do pomieszczenia z trzema uzbrojonymi wrogami. To przeczyło logice, nie mówiąc o standardowej procedurze operacyjnej.

Co to za gość?

Rinehart obszukał jednego z ochroniarzy, wyjął z jego kieszeni mały pistolet produkcji amerykańskiej – krótkolufowego colta – wysunął magazynek i zajrzał do środka.

– Twój? – zapytał.

Belknap mruknął twierdząco i Rinehart rzucił mu broń.

– Masz wyrafinowany gust – powiedział. – Dziewięciomilimetrowe półpłaszczowe pociski z wydrążonym czubkiem, miedź na ołowianym rdzeniu. Idealna równowaga między rozerwaniem a penetracją, z całą pewnością niestandardowa amunicja. Brytyjczycy mawiają, że człowieka można poznać po butach. A ja twierdzę, że wszystkiego da się dowiedzieć z jego amunicji.

– Ja też chciałbym się czegoś dowiedzieć – wtrącił Belknap, nadal z trudem składając fragmenty z ostatnich paru minut. – A co by się stało, gdybym nie był swój?

– To sprzątaczka miałaby czwartego trupa do uprzątnięcia. – Rinehart położył mu rękę na ramieniu w uspokajającym geście. – Ale mogę ci powiedzieć coś o sobie. Szczycę się tym, że dla prawdziwych przyjaciół jestem prawdziwym przyjacielem.

– I niebezpiecznym przeciwnikiem dla niebezpiecznych przeciwników, tak?

– Widzę, że się rozumiemy. To jak, zmywamy się z tej prywatki w robotniczym pałacu? Poznaliśmy gospodarza i potraktowaliśmy go z należnym szacunkiem, wypiliśmy drinka, więc chyba możemy wyjść, nie urażając niczyich uczuć. Nigdy nie powinno się wychodzić jako ostatni. – Popatrzył na stężałe twarze trzech trupów. – Jak podejdziesz do okna, to zobaczysz platformę i rusztowanie, w sam raz na popołudniowe mycie okien, choć my to sobie chyba darujemy. – Poprowadził Belknapa przez wybite okno na platformę zwisającą na linach z balkonu piętro wyżej. Z uwagi na wiecznie prowadzone tu naprawy i remonty było mało prawdopodobne, by ktoś z przechodniów w bocznej uliczce siedem pięter niżej zainteresował się nimi, nawet gdyby akurat tamtędy przechodził.

Rinehart strząsnął kolejny okruch szkła ze swego brunatnego kombinezonu.

– Teraz tak, panie...? – zaczął.